

► Jak w katastroficznym filmie.

Ale to się działo naprawdę. Na naszej ziemi. Po 40 latach spokoju do Niemiec wrócił wielki strach. Fukuszima nie da się do tego porównać, bo to były tylko obrazki na telewizyjnych ekranach. A Czarnobyl wszedł do naszych domów.

Ale nie zrezygnowaliście wtedy z niemieckich elektrowni atomowych.

Bo kiedy chmury atomowe odeszły, społeczeństwo podzieliło się prawie pół na pół i w końcu nieznacznie przeważał pogląd, że w Niemczech coś takiego nigdy by się nie zdarzyło. Ten podział utrzymywał się aż do Fukusimy.

Bo?

Bo to się stało w Japonii. Gdyby Fukuszima leżała w Wietnamie czy Chinach, pewnie znów byśmy sobie tłumaczyli, że oni są nieodpowiedzialni. Ale to się zdarzyło Japończykom! Jednemu z najsolidniejszych społeczeństw, cenionemu za wysoką kulturę techniczną i organizacyjną.

Azjatyckiemu bliźniakowi Niemiec.

Tak. Gdy to dotknęło podziwianą Japonię, Niemcy zdali sobie sprawę, że w cieniu atomu nikt nie jest bezpieczny.

A pan?

Ja już po Czarnobylu musiałem się wyraźnie określić. Bo rok po katastrofie zostałem w rządzie Helmuta Kohla ministrem środowiska, ochrony przyrody i bezpieczeństwa atomowego.

Pełniąc ten urząd do połowy lat 90., nie zamykał pan niemieckich atomówek. Nie zamykał ich też kolejny rząd Kohla, w którym był pan ministrem do spraw miast, transportu i budownictwa.

Tego nie dało się zrobić. Nie mogliśmy wyłączyć Niemcom prądu. Uważałem, że nie ma dla atomu mądrej alternatywy, więc ją musimy wymyślić. Tygodnik „Welt” zrobił z moich słów okładkę, kiedy powiedziałem, że „musimy stworzyć technologię, która uwolni nas od atomu”. Byłem przekonany, że to jest nasza najważniejsza cywilizacyjna misja. Wtedy zaczęliśmy w Niemczech wydawać ogromne pieniądze na efektywne technologie uzyskiwania energii z wiatru, słońca, geotermii, przetwarzania odpadów i innych odnawialnych źródeł. Żeby wymusić postęp, przyjęliśmy z liberałami program stopniowego odchodzenia od energii atomowej. W 2001 r. koalicja zielono-czerwona przyjęła plan ostatecznego zamknięcia elektrowni jądrowych. Bez histerii, bez chaotycznych działań, dzięki postępowi technologicznemu zastępowaliśmy brudną energię – czystą. Wszystkie rządy – Kohla, Schrödera i Merkel – ten cel realizowały. To kosztowało, ale szło bardzo dobrze. Aż rząd Angeli Merkel i FDP zrobił nagle krok wstecz, podejmując bardzo dziwną decyzję o przedłużeniu okresu działania elektrowni atomowych.

Dlaczego?

Bo pod presją liberałów uznał, że prąd jest w Niemczech za drogi. **Jest drogi.**

To jest cena zwrotu technologicznego. Niemcy to rozumieją. Dlatego po tej decyzji wybuchła wielka awantura. Wrócili atomowe emocje, które w latach 80. zbudowały potęgę Zielonych. A kilka tygodni później zdarzyła się Fukuszima. I Merkel zmieniła front o 180 stopni. Tę decyzję poparło ponad 80 proc. społeczeństwa. Nie ma już od niej odwrotu. Nie tylko dlatego, że Niemcy wolą mieć przejściowo droższy prąd, niż ryzykować wielką katastrofę. Pozbyliśmy się złudzenia, że atom to nowoczesność i przepustka do ekskluzywnego klubu mocarstw technologicznych. Dziś energetyka jądrowa jest dla Niemców symbolem szczególnie mijającej epoki wzrostu za wszelką cenę. Odrzuciliśmy tę przestarzałą, dwudziestowieczną logikę, do której należało marzenie o samolotach, statkach, pociągach z niemal darmowym napędem atomowym. Kiedy entuzjazm minął, zaczęliśmy liczyć, ile by nas kosztowało przechowywanie zużytego paliwa, i wreszcie zmierzaliśmy się z pytaniem, gdzie mielibyśmy je trzymać.

Jest dużo takich miejsc na świecie.

Ale czy jesteśmy w stanie je kontrolować? Dziś może tak. A za 50 lat? Czy chcemy stwarzać ryzyko, że radioaktywne od-

pady dostaną się w ręce szaleńców? W latach 80. nikt o tym nie myślał. Ale teraz świat się zmienił. Ryzyko nuklearne to nie jest tylko nasze, czyli niemieckie albo europejskie, ryzyko wewnętrzne. To ryzyko globalne.

Da się znaleźć jakieś bezpieczne sztolnie.

Na jak długo bezpieczne? I na jaką ilość odpadów? Ale to nie jest jeszcze najważniejszy problem. Przecież nie tylko nam brakuje energii. Brakuje jej w Afryce, Ameryce, Azji. Trzeba sobie zadać pytanie, czy rozwijając energetykę jądrową, chcemy, by atom był globalnym paliwem przyszłości? Europa jest globalnym trendsetterem. Inni nas naśladować. Wiadomo, ile napięcia wywołuje irański atom. Czy chcemy, by takie elektrownie stawiały sobie wszystkie kraje świata? A będą je stawiały, jeżeli nie stworzymy tańszych i bezpieczniejszych źródeł prądu.

Pan uważa, że Europa powinna zrezygnować z elektrowni jądrowych, żeby niestabilne politycznie kraje nie budowały ich u siebie?

To jest ważny powód. Bo tylko my jesteśmy wystarczająco bogaci i technologicznie zaawansowani, żeby stworzyć inne odnawialne źródła, które będą wystarczająco tanie. Dziś zielona energia jest jeszcze dość droga. Ale to jest początek. Technologie tanieją, gdy są rozwijane. Kiedy je rozwiniemy, innych będzie stać na ich stosowanie. A my będziemy korzystali z pozycji lidera. To jest nasza inwestycja w przyszłość. Nie tylko ekologiczną, ale też polityczną i gospodarczą. Chwilowo droższym prądem płacimy za bezpieczeństwo w przyszłości. I mamy w tej sprawie consensus. Mnie, członka CDU, Zieloni zaprosili na swój zjazd, żebym wygłosił przemówienie o strategii transformacji energetycznej Niemiec. Moja partia nie miała nic przeciw temu, że tam byłem.

Bo to jest kosztowny proces, którego rząd musi bronić, gdy ludzie się złączą na rosnące ceny prądu.

Wzrost cen nikogo nie cieszy. Ale CDU na tym nie straciła. Wygrała kolejne wybory.

A FDP przegrała.

Chociaż broniła energii jądrowej.

Niemcy wolą płacić, niż ryzykować?

Płacić nikt nie lubi. Dlatego trzeba było zaakceptować dziesięcioletni okres przejściowy dla elektrowni jądrowych, które wytwarzały jedną czwartą niemieckiej elektryczności. Po to poszedłem do Zielonych, żeby ich przekonać do zaakceptowania dziesięcioletniego okresu przejściowego, który pozwoli rozłożyć koszt transformacji w czasie i rozwinąć nowe technologie. Udało się. Bo przekonaliśmy ich, że mamy model profesjonalnego zarządzania tą transformacją jako projektem społecznym i gospodarczym. To jest wielki proces, który trzeba umiejętnie prowadzić. Nie można wyznaczyć terminu i liczyć, że jakieś niewidzialne siły się ujawnią, by stworzyć nowe źródła energii i sposoby jej oszczędzania. To by było naiwne i nieodpowiedzialne.

Jak się takim procesem zarządza?

To jest trudne. Dla poprzedniego rządu zbyt trudne. Liberałowie nie mieli do tego przekonania. Jeżeli urzędujący minister mówi, że transformacja będzie nas kosztowała dwa biliony euro do 2030 r., ale nie umie powiedzieć, jak tę kwotę wyliczył, to nie robi wrażenia profesjonalnego zarządzania procesem.

Założenie jest takie, że teraz ceny rosną, bo zielona energia jest droższa, ale dzięki wyższym opłatom możemy inwestować w nowe, tańsze technologie, więc ceny spadną. Tak było z procesem komputeryzacji, Internetem i przejściem na telefonię komórkową. Gdybyśmy za świadczone dziś usługi i za używane urządzenia telekomunikacyjne wciąż płacili ceny sprzed 20 lat, większość z nas byłaby bankrutami. Tak samo będzie z zieloną energią. Zanim wyłączymy ostatni reaktor, zielona energia będzie dużo tańsza.

Ale to wciąż będzie tylko część źródeł prądu.

Oczywiście konwencjonalne paliwa będą w 2030 r. istotne. Ale dzięki konkurencji energii odnawialnej ich cena będzie niższa. I, przede wszystkim, transformacja to nie są tylko nowe źródła energii. Równie ważne jest jej bardziej efektywne zużycie.